

Relacja przeprowadzona z p. Stanisławem Gorskim, zamieszkałym w Gorzowie wkp., ul. Mickiewicza 12a-5, tel. 25067 dn. 21/22 stycznia 1992 r.

Nazywam się Stanisław Gorski, urodziłem się 22-go listopada 1913 r. w Wilnie. Ojciec mój - Wilhelm był nauczycielem gimnazjalnym matematyki i fizyki. matka moja - Anna z domu Horbaczewska była również nauczycielem, wykładowcą języki obce.

Po ukończeniu szkoły średniej ~~Z~~ gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie, w 1937 roku, stąpiłem na dywizyjny kurs podchorążych piechoty przy 1 Dywizji Piechoty Legionów w Wilnie. Po ukończeniu kursu jak i odbyciu pułku manewrowego przeszedłem do Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie koło Ostrowa mazowieckiego. Byłem tam w 3-im plutonie, kompanii kpt. Krajnika.

Wojna zastała mnie na praktyce w młodeczynie w 86 Pułku Piechoty, 19 Dywizji. Dzień 1-go września utkwiał mi w pamięci boleśnie. Widziałem płaczące, żegnające i rozstające się rodziny - dla mnie było to dziwne - tam nie miałem się z kim żegnać. Widok ciągle płaczących, białolących kobiet, przeważnie wiesniaczek był naprawdę rozpaczliwy. Odprawiony zostałem 1-czy 2-gi rzut ja zostałem z oddziałami zapasowymi. W niedługim czasie odtransportowano nas do Lidy, gdzie byliśmy do 17-go września. 18-go załadowano nas do wagonów i zostaliśmy przewiezieni do Oran pow Grodnem. Po dojściu do Grodna zajęliśmy stanowiska bojowe, Rosjanie rozpoczęli atak na miasto z drugiej strony. Zpowiadań kolegów, kiedy siedzieliśmy razem w Olicie uświadziłem się, że podczas obrony Grodna donaterską postawą odznaczała się młodzież szkolna i młodzi robotnicy. Relacjonowali również, że przy wycoływaniu się jednostek wojskowych z nad Niemna spotkały się one z nieprzychylną postawą ludności żydowskiej. Przechodzące przez dzielnicę żydowską oddziały były atakowane przez Żydów, którzy porzucali ich kamieniami, lali na nich z góry wrzątek,

Walki trwały jeden dzień. Nasze pojawienie się - tak jak oceniają historycy - umożliwiło odskoczenie obrońców od atakujących Rosjan i ewakuację tych oddziałów na Litwę.

Przekroczyłem granicę 21-go września i wraz z oddziałem udałem się marszem w okolice Olity. Ja pojechałem do Kalwarii, gdzie znajdował się obóz oficerski ale, ponieważ panowały stosunki mi nie odpowiadające wróciłem do Olity. Zostałem tam swoich kolegów Józefa Mikuckiego i Ignacego Ankadowicza.

Nad granicą litewską organizował w tym czasie swój oddział mjr H. Dobrzański- "Hubal". My również chcieliśmy do nich dołączyć. Niestety "Hubal" organizował kawalerię, my byliśmy "spieszni", nie zostaliśmy zwerbowani.

Wraz z J. Mikuckim przekroczyliśmy granicę w fatalnych nastrojach. Mieliśmy świadomość, że idziemy w niewolę, nie wiadomo było co z nami będzie. Nie baliśmy się tego, że zostaniemy internowani. Bolało nas bardziej to, że nie będziemy mogli więcej walczyć. Mieliśmy jeszcze nadzieje, przecież walczyły jeszcze nasze jednostki.

W obozie w Olicie byliśmy jednymi ze starszych rangą oficerów, w dalszym ciągu zachowały się tam stosunki z regularnej armii, żołnierze nas szanowali, czuliśmy się dobrze.

Próbowaliśmy kilka razy uciekać z obozu. Chcieliśmy przez Szwecję dotrzeć do Anglii. Naszym jedynym problemem był brak pieniędzy.

Ignac Ankadowicz nie miał żadnych kłopotów, ale on nie mógł się ujawniać. Był to Polak z Litwy, ukończył gimnazjum w Poniewierzu w 1934 lub 1935 r. i uciekł do Polski, wstąpił do tej samej podchorążówki co ja. Mógł wyjechać, ale nie mógł się ujawnić. W obozie występował pod innym nazwiskiem- nie pamiętam jakim.

Po ostatniej ucieczce z obozu i złapaniu nas obóz został przeniesiony do Wilkomierza. Obóz ten był dopiero organizowany. Zaletą sytuacji tego obozu było to, że środowisko polskie w Wilkomierzu było bardzo czynne. Od razu zainteresowali się nami, dostarczali gazety, opiekowali się nami jak mogli. Naturalnie była to działalność zabroniona przez Litwinów, ale to ich nie odstraszało. Szczerze mówiąc

nie potrzebowały pomocy żywnościowej, ponieważ Litwini karmili nas aż za dużo. Menazka polska była litrowa a litewska dwu litrowa i jak kucharz lał zupę to do pełna. Naturalnie to nie było jakieś wymyślne jedzenie, ale człowiek nigdy nie był głodny - zawsze mieliśmy pełny brzuch. Martwiło nas natomiast to, że siedzimy **bezczylnie** przygotowując się do kontynuowania walki już za granicą. Oboz był umieszczony w dawnych koszarach, oddzielony drutem kolczastym. Pilnowany był przez żołnierzy litewskich, komendant był w stopniu majora i raczej odnosił się do naszych problemów **po** ludzku.

11-ego listopada nasi chłopcy zorganizowali uroczystość - była to akademia. Dla podkreślenia wagi unia wyciągnęła sztandar polski i powiesili go na maszcie nad koszarami. Na rozkaz Litwinów **by** zdjęć sztandar nikt z nas się nie ruszył. Litwini zaczęli strzelać do okna. wtedy został zastrzelony jeden z nas, drugiego raniono. Powstała awantura i szum. Przyjechały władze przeprowadzić dochodzenie. Prawdopodobnie oficer który dał rozkaz strzelania miał duże nieprzyjemności, niestety szczegółów tej sprawy nie znaliśmy.

Po przeprowadzonym dochodzeniu komendant obozu wachmistrz kawalerii 23 Pułku Ułanów - Stankiewicz, który przerobił się na Stankiewiczusa, okazał nas pouchorażakow za to, że mieliśmy być **jakoby** prowodyrami. Było nas pięcioro, ~~mieliśmy~~ **mieliśmy** być wywiezieni do obozu karnego - V fort w Kownie.

Ankudowicz zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie mu mogło grozić natychmiast skontaktował się Polakami na Litwie - nazwisk ich nie pamiętam. Dostarczyli mu cywilne ubranie i zobowiązali się przeprowadzić go przez granicę do Wilna. Następnego dnia, tzn. 13-go mieliśmy my uciekać /Ja i J. Mikucki/, tuż po nas, albo następnego dnia mieli uciekać następnych dwóch, których nazwisk nie pamiętam.

Zgodnie z planem- 12-go uciekł i sAnkudowicz z jeszcze jednym podchorążakiem, następnego dnia zrobiliśmy to my. Obóz nie był dobrze strzeżony, były druty ale mogliśmy swobodnie przez nie przejść. Dostarczono nam ubrania cywilne, nie odznaczaliśmy się od ludności litewskiej- zaznaczam to szczególnie, ponieważ materiały i kroje ubrań litewskich różniły się od naszych.

Podczas tej ucieczki mieliśmy trochę przeżyć. Byliśmy umówieni w oznaczonym miejscu z dwoma Polakami z Litwy i okazuje się, że nikogo nie ma. Mieliśmy czekać na sygnały świetlne. Nagle słyszemy polską mowę: "Gdzie do jasnej cholery się pochowali, dawaliśmy sygnały świetlne i nikogo nie ma." Zrozumieliśmy, że byli to Polacy umówieni z nami. Odprowadzili nas do miasta, gdzie dotarliśmy nad ranem. Był to chyba poniedziałek - dzień targowy, ponieważ było dużo furmanek, które wracały z Wikomierza do Dubinek, po litewsku nazywały się Dubingej. Wśród woźniców byli również i Polacy wzięli nas ze sobą. Podczas podróży mieliśmy również przygody. J. Mikucki przestraszony pojawieniem się policjantów litewskich, zeskoczył z wozu i uciekł w kozaki- zginął nam na pół godziny. Jechał w tym samym kierunku na innej furmance. Polacy na Litwie zachowywali się bardzo dzielnie, nie przejawiali żadnego strachu czy lęku- czuli się twardo i pewnie. Przenocowaliśmy w Dubinkach i następnego dnia rano Jan Giedrys- młody chłopak, nie wiem czy był aresztowany jako Polak czy Litwin, w każdy razie czuł się Polakiem- miał nas przeprowadzać przez dawną granicę polsko-litewską. Szliśmy razem i przy wyjściu z lasu, chcąc przejść przez drogę wpadliśmy na furmankę z Szaulisami- strażą graniczną- którzy patrolowali granicę. naturalnie zabrano nas, dokonano rewizji, niezbyt dokładnie ponieważ miałem przy sobie pistolet FM, który podczas drogi schowałem pod ręką na litewskim wozie.

Przed wyruszeniem opracowaliśmy wręcz całą legendę skąd jesteśmy.

Mieliśmy być synami kowala, który mieszkał pod Podbrzeziem i przyszliśmy tutaj do kuzynów, których nie widzieliśmy już dość długo. Litwini chcieli potwierdzenia naszej tożsamości ze strony naszych niemych to prawdziwych kuzynów. Przyszła młoda Polka i nigdy się tak serdecznie nie całowałem z obcą dziewczyną jak z nią. Jej wspaniałe zachowanie, jak i oświadczenie, że jesteśmy jej krewniakami przekonano Litwinów, że jesteśmy jej prawdziwymi krewniakami z "dawnej strony polskiej" - jak to oni mówili. Wypuscili nas. Przez granicę przeprowadza nas strażnik litewski, zagrozi nam, że dostaniemy "w ciry" jeżeli jeszcze raz spróbujemy nielegalnie przekroczyć granicę. Nam to bardzo odpowiada!

Niegdaleko traktu na Podbrzeziu zatrzymaliśmy się w chatupie, gdzie zgodzono się nas przenocować. Rano mieliśmy być podwiezieni do Podbrzezia. Było to trochę ryzykowne ponieważ Litwini patrolowali już przygraniczne tereny.

Rano zobaczyły mnie jakieś gęsy, było jeszcze ciemno a tu widzę, że gospodarz zaprzęga konie. zdziwiło mnie to, że wyjeżdża i nas nie sudi. Obudziłem kolegę i mówię mu: "Widzimy, tu się dzieje coś dziwnego." Nie mieliśmy za dużo towarzyszy ze sobą - tylko przyrzęły do gotowania - zwinęliśmy je i delekaliśmy z tej chaty. Ledwo dopadliśmy do krzaków a już wzięliśmy turmankę z litewskimi policjantami, którzy na pewno by nas złapali. wyszliśmy z tego cało.

Nasze zziwienie było duże kiedy wjeżdżaliśmy do Wilna i zobaczyliśmy po raz pierwszy litewskiego policjanta patrolującego ulicę Wilna. Później nazywali go "kałakutas"- indyk. Pierwsze wrażenie było dziwne - Wilno miasto polskie, ja urodzony tutaj i mieszkający nie mogłem się do tego przyzwyczaić.

Nie poszedłem do moich rodziców, ponieważ wiedziałem, że matka jest osobą nerwową i takie nagłe pojawienie się mnie mogło jej zaszkodzić. Poszedłem do ciotki, dowiedziałem się tam, że matka o-

trzymała wiadomość z Czerwonego Krzyża- gdzie dowiadywała się o mnie, że zginąłem pod Grodnem. Miało się to stać przez przypadek, ponieważ granat rozerwał się koło mnie. Rzeczywiście było tak, że granat rozerwał się w odległości około 10m ode mnie, ale ja upadłem wcześniej. Kolega który to widział uważał, że zostałem zabity, tym bardziej, że nie spotkaliśmy się ~~wcześniej~~ później. Podał informację o mojej śmierci. W związku z taką sytuacją, tym bardziej nie mogłem iść do domu, musieliśmy moją mamę przygotować. Poszła do mamy moja kuzynka Krystyna Jocher, była wtedy studentką na Uniwersytecie Wileńskim. Przygotowała mamę na spotkanie ze mną. Tak się zaczął mój pobyt na swobodzie w Wilnie.

~~Staje-on-are-trwała-~~ Mój kuzyn, Jan Gorski był organizatorem kontrwywiadu. Ja zostałem zaprzysiężony do Związku Walki Zbrojnej w końcu grudnia 1939r. Zaprzysiężony zostałem przez Ignacego Jurewicza, przyjąłem pseudonim "Bogdan".

Nie pamiętam dokładnie czy było to jeszcze w 1939r. czy już w 1940 zostałem zastrzelony na ul. Lipowej były oficer polski, którego posądzaliśmy o to, że był agentem litewskim. Brałem udział w tej akcji, w obstawie. Zostałem aresztowany. Siedząc na Łukiszkach spotkałem swojego kuzyna Jana, który wziął całą winę na siebie- ja miałem nie wiedzieć.

Muszę powiedzieć, żeby umotywować wiarygodnie swój pobyt w Wilnie do września 1939r. załatwiłem sobie indeks studenta 3-go roku filologii romanskiej. Otrzymałem ten dokument od mojego ojca chrzestnego- prof. Stanisława Kościel~~ko~~skiego. Ojciec ^{Chrzestny} ~~zginął~~ wywieziony przez Rosjan do Kazachstanu. Wierzę, że był tam bardzo aktywny, pomagał i podtrzymywał współrodaków jak mógł. Był starszym człowiekiem, miał ponad 70-siąt lat, zachorował i zmarł najprawdopodobniej na tyfus- dokładnie nie wiem.

Prof. Oko, dający mi indeks, jak i mojemu koledze Józkowi Mikuckiemu, zobowiązał nas pod przysięgą, że nie udzielimy ich nigdy używać.

22-go lutego zostałem aresztowany tuż przed dawnym Urzędem Wojewódzkim a wtedy siedzieli sauguny litewskiej /urząd bezpieczeństwa/. Sądzę, że byłem dobrze rozpracowany, ponieważ dokładnie wiedzieli gdzie trzymam przy sobie broń i pierwszą rzeczą którą zrobili aresztujący mnie ludzie, to pozbawili mnie jej.

Udawalem, że nic nie wiem, że nigdy nie byłem w wojsku. Bawo mnie dwóch śleszczych, byli to oficerowie Wojtikunas i Jałowieckis-oyi to inteligentny, dobrze wychowany człowiek, miałem wrażenie, że był z pochodzenia Polakiem i dlatego tak ostro do mnie nie podchodził. Inaczej było z Wojtikunaszem, który był chamski i brutalny w dochodzeniach. Ja tylko raz dostałem w pysk".

Moja sprawa rozchodziła się o powiązania z podziemiem. W czasie akcji miałem za zadanie tylko pilnowanie pewnego odcinka.

Aresztowano wtedy dużo młodzieży. Jeden z nich - Fediaji się nazywał, był włoskiego pochodzenia, chłopak z gimnazjum im. Króla Zygnanta - pamiętałem go jeszcze jako młodszego ucznia tej szkoły - miał duże trudności, był dużo cioty ale do niczego się nie przyznawał. Podobno całą tę organizację "wyspała" uczennica z gimnazjum im. Czartoryskiego, ale dokładnie nie znam sprawy.

Moja sytuacja wydawało by się była beznadziejna, trwały przesłuchania, o mnie mnie nie oskarżali. Śledztwo było już ukończone - o czym jeszcze wtedy nie wiedziałem.

Pewnego dnia przyszła na odwiedziny mama i skłoniła mnie do tego bym się przyznał, że byłem w wojsku polskim. Sądzila, że ja nie wtedy zwolnią. Litwini wprowadzili zarządzenie, że wszyscy urodzeni

w Wilnie stawali się automatycznie obywatelami Litowskimi. Mama sądziła, że zostaną wtedy szybko wypuszczeni.

W dwa dni po tym jak się przyznałem zostałem przewieziony w kajdankach do Kowna, do V Fortu. Znajdował się tam obóz internowanych osób, jak również więzienie polityczne. Trudno mi dzisiaj określić jakiego rodzaju to było odosobnienie.

Siedziałem tam parę tygodni. Wiedziałem już, że na Litwę wkroczyli Rosjanie. Krążyły słuchy, że będą wywozić obóz. Uważałem, że nie wolno ryzykować i trzeba wiać. Podczas następnego widzenia z matką powiedziałem, że jeżeli nie zostaną zwolniony w ciągu dwóch dni to ja uciekam. Matka zmobilizowała wszystkie swoje możliwości i przy pomocy naszej ciotki mieszkającej na Litwie zostałem zwolniony z obozu, jako obywatel litewski, narodowości polskiej. Stosunek Litwinów do byłych żołnierzy polskich był różny. Robotnicy i rzemieślnicy ^{mniej,} zarabiający ^o ~~o~~ **niższym** statusie społecznym byli przychylni nam i z nimi można się było zawsze dogadać. Natomiast inteligencja, a szczególnie inteligencja pracująca w administracji była bardzo negatywnie do nas nastawiona. Załatwienie czegośkolwiek u Litwinów było bardzo trudne.

Trzeba zaznaczyć, że to nie trwało długo. Po wkroczeniu Rosjan do Wilna stosunki się zmieniły, ponieważ nie mieli już takiej możliwości pokazywania swojej wyższości bo byliśmy traktowani na równi jako obywatele ZSRR.

Muszę dodać, że podczas pobytu w więzieniu byłem oskarżany o kontakt z konsulatem radzieckim, czy z władzami radzieckimi - jak mi zarzucano - w Lidzie. Prawda była taka, że ja rzeczywiście chodziłem do Lidy, ponieważ dowiedziałem się, że jednostki polskie, które nie zdążyły się z nami wycofać do Oran zakopały tam swoje uzbrojenie. Ja przywoziłem tą broń do Wilna. Z zarzutu tego jednak nic nie wyszło, nie mogli mi nic udowodnić.

Po wypuszczeniu mnie z więzienia ~~wyjechałem~~ szukałem naturalnie pracy - musiałem z czegoś żyć. Pojechałem do pracy przy budowie

autostrady Wilno-Kowno. Pracowałem tam jako robotnik fizyczny prawie do grudnia 1940r. Kopałem rowy dla autostrady, której budowę wymógł jeszcze rząd polski na Litwie. Choć praca była ciężka to jednak dobrze zarabiałem, nikt się nie czepiał. Po raz pierwszy poznałem życie robotników z którym się wcześniej nie stykałem. Byli doskonałymi kolegami i Polakami- pracowali tam przede wszystkim Polacy. Litwini, którzy sprawowali kontrolę nad naszą pracą również nie robili żadnych nieprzyjemnych uwag. Popularne było wtedy przezwisko jakie Litwini nadali Polakom : "Lankas Rupus"- Polak Ropucha- tam nie spotykaliśmy się z czymś takim.

Zachorowałem na gryppę i musiałem zrezygnować z tej pracy. Miałem wtedy zapalenie płuc, byłem niezdolny do pracy przez parę tygodni. Po przyjsciu do zdrowia ponownie szukałem pracy.

Znalazłem pracę, początkowo jako tabelowy, a później jako pomocnik zaopatrzeniowca w fabryce pończoch Pakajta w Wilnie przy ul. Nowogródzkiej.

Życie moje płynęło normalnie. Litwini musieli się liczyć z nami, Polakami jak z innymi narodowościami ponieważ nie oni byli już wtedy panami na Litwie bo władzę sprawowali Rosjanie. Trzeba powiedzieć że Litwini współpracowali doskonale z Rosjanami. Chwalili Stalina, byli bardzo aktywni- czego nie można powiedzieć o Polakach. Entuzjazm Litwinów sięgał tak daleko, że niektórzy wstępowali do Armii Czerwonej zamiast do litewskiej. Dla mnie nie było ich zachowanie dziwne, tak samo zachowywali się po wkroczeniu armii niemieckiej. Od razu zmienili front. Zaczęli chwalić Hitlera za organizację i porządek. Tak samo popierali zamierzenia militarne Niemiec, tak daleko, że podajże w 1943r. powstała armia gen. Plechawicziusa- sformowana specjalnie do walki z polską partyzantką. Dla nas to było doskonałe zaopatrzenie polskich oddziałów partyzanckich w broń. Pod Murowaną Ośmianką Litwini dostarczyli nam takiej ilości broni, że trudno nam było sobie to wyobrazić. Potyczka ta mogła się skończyć dla Polaków

tragicznie, ale dzięki doskonałemu współdziałaniu oddziałów partyzanckich odnieśliśmy zwycięstwo. Na ten temat wypowiadało się już wielu historyków.

Historia armii gen. Plechawicza skończyła się w maju 1944r., kiedy to została rozbrojona, a żołnierze zostali wywiezieni na roboty. Wiem również, że żołnierze ci służyli jako strażnicy w obozach koncentracyjnych w Majdanku, jak również brali udział w likwidacji Getta warszawskiego. Dowiedziałem się tego później w Rozmianiu od kolegów.

Wkroczenie Niemców do Wilna było dla mnie wielkim przeżyciem z dwóch powodów. Po pierwsze w czasie tym ojciec mój chorował poważnie na serce i cała rodzina była przygotowana na śmierć ojca. Ojciec leżał na tapczanie i nagle trzy lekkie bomby lotnicze wybuchły koło naszego ogródka - mieszkaliśmy wtedy przy ul. Zakretowej, była to dzielnica willowa. Ojciec jak gdyby nie zerwał się z tapczanu i przesadzając dwa proty wskoczył do okopu przeciw lotniczego, wykopanego jeszcze we wrześniu 1939r. Ojciec, aż do swojej śmierci w 1949r. tak nie chorował na serce jak przedtem - musiał wtedy przeżyć szok.

Drugim powodem był stosunek Polaków do Niemców. Wycofujące się oddziały NKWD i Armii Czerwonej zostawiały straszne ofiary w więzieniu na Łukiszkach i na ul. Ofiarnej. Ciało pomordowanych osób były eksponowane przez Niemców. Dlatego początkowo nasz stosunek do Niemców nie był w 100% negatywny. Mogliśmy ich odbierać jako oswobodzicieli od tyranii sowieckiej - były przecież już wywożenia na Sybir, aresztowania, znęcania się i jeszcze potwierdzenie, że w więzieniu odbywały się bestialskie mordowania. W gazetach pokazywano zdjęcie zamordowanego sercem swego syna lekarza litewskiego. Robiło to na nas straszne wrażenie.

Nie wiadomo czy nie były by sformowane jednostki polskie pod dowództwem niemieckim, gdyby sytuacja potoczyła się tak dalej. Nie

doszło jednak do tego. Doskonale zadziały nasze podziemne komórki. Odcielisły się kategorycznie od myśli współpracy z Niemcami. Zdecydowanie wroga postawa Polaków przeciw Niemcom była już pod koniec 1941r.

A Litwini jak zwykle współpracowali doskonale z Niemcami, starali się zlikwidować polską konspirację. Mieli z tym dużo kłopotów, zdarzały się pojedyncze przypadki zdrady. Pamiętam dwa wypadki, jednym z nich człowiek, podaję o nazwisku Jakubowicz, został skazany przez AK na śmierć za donosicielstwo. W drugim przypadku to była wspomnianą już przeze mnie uczennica gimnazjum czapłowskiego. Oba wyroki zostały wykonane - wydaje mi się, że zostało to już w historii opisane. W likwidacji szpicla niemieckiego Jakubowicza brał udział władca Ligortynski, który znał go doskonale. Mieszkał wtedy na Zwierzynca, Jakubowicz został podstępnie wyprowadzony na Karolinę i został tam zastrzelony. W. Ligortynski opowiadał mi o tym później, wtedy byliśmy razem internowani w Riazaniu. Akcja ta była jak wiadro zimnej, otrzeźwiającej wody dla wszystkich tych, którzy współpracowali z Niemcami czy z Litwinami. Oduźwił tę akcją był taki, że każdy kto popierał wroga zostanie zlikwidowany.

Po wkroczeniu Niemców w dalszym ciągu pracowałem w fabryce północach, ale już jako szef zaopatrzenia. Mojego poprzedniego kierownika - Żyda zamknięto do getta w Wilnie. Początkowo dyrektorem fabryki był Litwin porządny człowiek, nie dający nam Polakom odczuć swojej wyższości.

W fabryce tej pracowały przede wszystkim żony dawnych oficerów wojska polskiego i gdyby dyrektor był "świnia" mógłby wiele im zaszkodzić.

Pod koniec 1943r. lub na początku 1944r. dyrektorem fabryki został Niemiec Herbert Mayer. Pochodził z Saksonii, wcześniej był sportowcem - skoczkiem narciarskim, uległ wypadkowi kręgosłupa i był

zwolniony ze służby wojskowej. Był bardzo pozytywnie ustosunkowany do Polaków, trudno to sobie wyobrazić. Bronił nas przed zsyłkami jak mógł, a ponieważ fabryka nie robiła już żadnych pończoch tylko zajmowaliśmy się naprawą pończoch i skarpet żołnierzy niemieckich, więc była dosyć potrzebna jednostka w organizacji niemieckiej. Mayer miał duże wpływy i mógł załatwić zwolnienie z wywózki na roboty do Niemiec. Wysyłano dosyć dużo Polaków na roboty. Naturalnie Litwini mają również kontyngenty robotników do wysłania - wysyłali nas Polaków a nie współrodaków.

Warto powiedzieć jak Litwini ustosunkowali się do Polaków pod okupacją niemiecką. Była wyznaczona godzina policyjna. Policja litewska patrolowała ulice, już ubrana nie tak śmiesznie jak wcześniej i każdego napotkanego Polaka "pałowali". Organizacja polska zastosowała odwet. Kilka krotnie podpuszczali jakiegoś chłopaka na wasią, a sami ukryci w bramie czekali aż zacznie się pałowanie. Wtedy dość liczną grupą wyskakiwali z bramy i rąbali Litwinów. Nie wiem dlaczego, ale patrolujący Litwini **nie** mieli broni - może dlatego, że Niemcy im nie wierzyli za bardzo. Kilka podobnych akcji podziemia całkowicie zlikwidowały litewskie zakusy na życie Polaków.

Pracując w fabryce miałem możliwości poruszania się prawie po całej Litwie. Pracując w zaopatrzeniu jeździłem do Poniewieża, Kowna, na Szawel, mogłem ~~być~~ wtedy orientować się w nastrojach Polaków, tam mieszkających. W Kownie było środowisko Polaków "Żalkanis" - Zielona Góra aktywnie działające. O nastrojach tam panujących informowałem swoje dowództwo. moje zadanie polegało wtedy na zbieraniu i przekazywaniu informacji. Byłem również przydzielony do szkolenia żołnierzy. Nie było to szkolenie bojowe, tylko teoretyczne: terenoznawstwo i wszystkie te dziedziny, które można było przeprowadzać w mieszkaniu. Nigdy nie brałem udziału na szkoleniu w polu.

W kwietniu 1944r. w ~~mojej~~ fabryce, gdzie pracowałem gestapo wpadło na trop polskiej gazetki podziemnej "Niepodległość". Jedną z pracownic, nie pamiętam jej nazwiska, podrzuciła mi tę gazetkę, a ja

nie mając innej możliwości wsadziłem ją do szafki w gabinecie dyrektora Mayera. Na drugi czy na trzeci dzień właściciel fabryki woła mnie do siebie i pyta? "Co to jest?" Ja naturalnie udaję, że nic nie wiem, nic nie widziałem. Stąpo mówiłem po niemiecku, ale powiedziałem mu, że jeżeli chce to może to wziąć i spalić w kotłowni. Dyrektor odpowiedział "Nie, na to pracowało wiele ludzi i jeszcze więcej się narażało." Uważałem, że jest to prowokacja, ale on tak zdecydowanie postawił sprawę i jeszcze zakończył to tak, "że zrobisz tak jak opuszysz uważasz, w każdym razie to szkoda ludzkiej pracy." Był to ~~przypadek~~ stosunek Niemców do nas Polaków. Przypinał sobie w kłapę marynarki znaczek NSDAP, ale wydawało mi się wtedy, że robił to tylko pro forma szczególnie wtedy, gdy szedł do jakiegoś urzędu.

W parę dni później uprzedził mnie, że dopytuje się o mnie i szuka Gestapo. Zaproponował mi abym zrezygnował ze swojej pracy w fabryce. Rzeczywiście skorzystałem z tej jego propozycji i zgłosiłem się do mjr Węgielnego, dowódcy 2-go zgrupowania. Byłem u niego łącznikiem.

W walkach partyzanckich nie brałem dużo udziału. Walczyliśmy ~~w tym czasie~~ ^{później} już jako jednostka radziecka o Mejszagorę i dalej w kierunku na Kiernowo.

Jedenastego bądź dziesiątego lipca 2-łe Zgrupowanie forsowało Wilię w okolicy Kiernowa, jednak silna obrona hitlerowska z drugiej strony uniemożliwiła przeprawę i nasz dowódca mjr Węgielny zarządził wycofanie się naszych oddziałów, zginęło wtedy dużo naszych ludzi. Następnie wycofano nas do tyłu jakieś 4-5 km w las. Tam nocowaliśmy. W tym czasie przyszedł rozkaz od gen. Wilka, odbyła się odprawa oficerów i mieliśmy powrócić do Wilna.

Należało zawiadomić dowództwo jednostki radzieckiej, której byliśmy, że tak powiem częściowo byliśmy u płk. Morozowa, a dowódcą dywizji był gen. Gładyszew.

Otrzymałem rozkaz od mjr Węgielnego, aby zawiadomić o naszym

wycofania z rejonu walki. Po drodze byłem atakowany przez Stukasa, szczęśliwie dotarłem do stanowiska dowodzenia płk Morozowa i zameldowałem mu o naszym wycofaniu.

W tym czasie ciekawy był stosunek oficerów radzieckich, którzy mówili: "Chodźcie z nami z tyłu NKWD". Znając stosunki radzieckie wiedziałem, że jest to groźna sytuacja i naturalnie przekazałem tę wiadomość mjr Węgielnemu, który powiedział: "Trudno, my mamy rozkaz swojego dowódcy i musimy go wykonać. Ważniejszy jest dla nas rozkaz gen. Wilka a nie rady radzieckich oficerów frontowych."

Należy tu powiedzieć, że rosyjscy oficerowie frontowi byli bardzo pozytywnie do nas ustosunkowani, sympatycznie było z nimi współdziałać. Byli bardzo otwarci, naturalnie wódka, śpiewy frontowi żołnierze byli zupełnie inni od postępującymi za nimi NKWD-zistami.

Naturalnie wycofaliśmy się i szliśmy w kierunku Wilna. 12 lipca zgrupowanie ruszyło w kierunku wokorabiszek na południe od Wilna. W okolicach Krawczony - Nowosiółki zostaliśmy zaatakowani przez wycofujące się z okrążenia w Wilnie oddziały niemieckie. W oddziałach tych było bardzo dużo łotyszów, doskonale uzbrojonych. Walka była bardzo krwawa. Ja byłem wtedy przy dowódcy zgrupowania, który wydał mi rozkaz odszukania sztabu radzieckiego i zameldowania mu, że spotkaliśmy Niemców. Boj spotkaniowy rozpoczął się od Pierwszej Brygady, w której znajdował dowódca "Jurand". Szczegółowy przebieg walk nie jest mi znany, ponieważ odszukałem sztab radziecki, zajęło mi to parę raunych godzin, nie było tak łatwo go odnaleźć. Zameldowałem się - znałem rosyjski nie najgorzej - u generała Gradyszewa, ale zostałem przyjęty przez jakiegoś majora i zameldowałem mu o toczących się walkach. A on powiedział: "Puskaj, niech idą". Machnął ręką, mówiąc, że to nie jest takie ważne, że te oddziały i tak im wcześniej czy później wpadną na drogę. Po powrocie zameldowałem mjr Węgielnemu o wykonaniu rozkazu. I tak się zasadniczo skończyła moja służba u mjr Węgielnego, ponieważ skierował

mnie na adiutanta kpt. "Wujka" - Witolda Kiewlicza, dowódcy 36 Brygady Żejmiana. Znałem swoje obowiązki przy mjr Węgielnym, wiedziałem co mam robić i objąłem tę nową funkcję,

17 lipca 1944r. do dowódcy brygady przyszedł rozkaz udania się na koncentrację do miejscowości Bogusze. Miała się tam odbyć odprawa z dowódctwem radzieckim. Udałem się wraz z dowódcą, szefem żandarmerii, oraz jednym z żołnierzy. Jechałem początkowo konno, ale po pewnym czasie zdrzemnąłem się prowadząc bryczkę. Z mojego powodu przejechaliśmy parę kilometrów dalej - musieliśmy się cofnąć. Ten mały incydent spowodował nasze spóźnienie.

Na miejsce koncentracji przybyliśmy w momencie, kiedy nasze dowództwo było już otoczone z trzech stron przez żołnierzy NKWD. - byli to tak zwani "pograniczniki". Było tam również dowództwo radzieckie - najwyższy rangą był generałem.

Mój dowódca, spóźniony chyłkiem przeszedł przez płot i dołączył do całej grupy. Ja natomiast tchnięty zostałem jakimś przecuciem. Usłyszałem rosyjską kolenkę: "Zdawaj orurzie", uważałem, że jest to rozbrojenie naszych oficerów. Przez cały ten czas pamiętałem przestrogi radzieckich oficerów frontowych. Nie zastanawiając się dużo wsiaadłem na konia i uciekłem. Daleko jednak nie ujechałem, zacząłem się zastanawiać. Może to było normalne, że przed spotkaniem, wspólnym porozumieniem mieliśmy wszyscy występować bez broni. Pierwszą myślą jaka mi przyszła do głowy to było zniszczenie dokumentów jakie miałem przy sobie. Zakopałem wszystkie pieczętki, listy, wszystko to co miałem przy sobie i mogło być groźnym materiałem w ręku NKWD. Przemyślałem to sobie **głębiej** i doszedłem do wniosku, że chyba nie mogli być aż tak perfidni i robrajać nas na odprawie. Postanowiłem wrócić. Zatrzymałem przy sobie całą kasę brygady, oraz radziecki dowód osobisty na swoje nazwisko, który dostałem, jak każdy obywatel w 1941r. Nie pomyślałem jak bardzo

to mogło być dla mnie niebezpieczne. Mogłem być zatrzymany jako zdrajca "ojczyzny" i być osądzony na dziesięć lat więzienia bez wyroku. naturalnie po przyjechaniu na miejsce odprawy nie zastałem już oficerów, byli radowani na samochody i wozy. Mnie wraz z innymi podoficerami również rozbrojono i po wsadzeniu na samochody wieziono w stronę Wilna. Po przejeździe 5 może 10 km widziałem przez szparę w burcie samochodu /ponieważ wszyscy musieliśmy leżeć na podłodze/ oddziały z naszej obstawy. Pomyślałem sobie, że może to dobrze, iż się spóźnili, ponieważ mogła być z tego krwawa jatka i nic więcej. Zawieziono nas od razu na ul. Ofiarną, tam gdzie była siedziba NKWD, a następnego dnia rano do więzienia na Łukiszkach. Siedziałem tam razem z moim kolegą Czesławem Plejewskim, był moim młodszym kolegą gimnazjalnym, a wtedy adjutantem dowódcy brygady tylko, że w innym zgrupowaniu /wydaje mi się, że działali gdzieś na południowej wileńszczyźnie.

Na Łukiszkach siedzieliśmy najprawdopodobniej do 23 sierpnia. Zebrano nas wszystkich /około 30 osób/ i maszerowaliśmy do Miedliennik, miejscowości odległej o kilka kilometrów od Wilna. Znajdował się tam obóz przejściowy dla wszystkich tych ~~oficerów~~ ^{żołnierzy}, którzy w późniejszym czasie znaleźli się w Kałudze. Obóz był pusty, tylko wszędzie było pełno śladów bytności naszych ludzi: Po przemocowaniu nas tam jednej nocy kazano wrócić znowu na Łukiszki.

1 września 1944r. załadowano nas na wagony. Odcywało się to na dworcu w Wilnie. Przez szpary w ścianach wagonu widziałem "Brzozę", którego znam z widzenia ponieważ mieszkał koło mnie na ul. Zakretowej, a wtedy był dowódcą kompanii w brygadzie "Szczerbca". Wraz z nim wokół naszego transportu kręciło się wielu młodych ludzi, wyglądało na to, że chcą nas odbijać. Na szczęście - mówię to dzisiaj - nie zdecydowali się na taki krok, skończyło by się to tylko masą trupów po każdej stronie.

Po załadowaniu nas do towarowych wagonów zawieziono do Mołode-

czna, zorientowaliśmy się wtedy, że wiozą nas na wschód.

~~10~~ 10 czy 11 września wylądowaliśmy w obozie w Riazaniu. O tym, że jest to Riazan dowiedzieliśmy się później. Jak nas więziono to powiedziano, że jedziemy do wyższej szkoły wojennej. Podczas transportu było kiepsko z zaprowiantowaniem. Zaczynało się robić coraz chłodniej, nie wszyscy byliśmy odpowiednio ubrani.

Podczas transportu zdarzył się dosyć smieszny epizod. Podczas postoju na jednej ze stacji doliczono się, że jednego z nas nie ma- najprawdopodobniej uciekł po drodze. Nic to nikomu nie przeszkadzało, na pobliskiej łące pastuch pasł krowy, bez żadnego tłumaczenia został "zgarnięty" do naszego transportu. Rachunek się zgadza- wszystko było w porządku.

11 września rano, kiedy się obudziliśmy słyszymy "Rano, rano, raniusieńko, rano po rosie". Co to jest, polski splew? Okazało się, że to była polska szkoła podchorążych, która szła na ćwiczenia. Śpiewy polskiej podchorążówki w Riazaniu słyszeliśmy bardzo często. Siedzieliśmy za szczelnym, czterometrowym płotem, do którego, zresztą nie mieliśmy dostępu.

W obozie zastaliśmy już inne zgrupowania AK-owskie, nie mogę sobie przypomnieć kiedy przybyli, ale byli tam żołnierze AK z Lubelszczyzny, Lwówiacy, była prawie cała koncentracja AK ze wschodniego pogranicza Polski.

Jak już wspominałem mówiono nam, że jedziemy do wyższej szkoły wojennej, jako młodzi oficerowie będziemy dalej się kształcić- wszystko to skończyło się tym, że trzy i pół roku siedzieliśmy w Specłagrze nr 178 w Riazaniu.

W marcu 1945r. wybuchła głodówka, była ona zorganizowana, nie znałem ~~nim~~ ^{organizatorów} ale zapewne był wśród nich mjr Wasilewski, wtedy używał innego nazwiska. Głodówka trwała pięć dni. Przyjechał radziecki oficer, chyba pułkownik, powiedział nam, że zostaniemy

przewiezieni do kraju. I faktycznie po pewnym czasie zostaliśmy przewiezieni, ale nie do kraju tylko do drugiego obozu w Diagilewie, oddalonego od poprzedniego o jakieś 5 km.

Obóz był duży, znajdowali się w nim już jacyś nasi żołnierze. W późniejszym czasie przywieziono do tego obozu część oficerów i żołnierzy z obozu w Kałudze. Byli tam między innymi oficerowie, którzy ukrywali się między żołnierzami w Miednikach, gdzie nie byli jeszcze rozpoznani, a wyłapano ich dopiero w Kałudze.

Nas Wilniuków przydzielono do trzeciej kompanii, w skład której wchodziły dwa lub trzy plutony.

Jeżeli chodzi o nasz pobyt w pierwszym obozie w Riazaniu, to zaczął się on bardzo kulturalnie. Zaczynaliśmy od obiadów trzy danowych, z mięsem - wyglądało to tak, że jesteśmy porządnie zaopatrywani. Niestety nie trwało to długo, zaczęły się kradzieże żywności przez kucharzy, nasze porcje stawały się coraz bardziej skąpe. Wiem, że mieliśmy otrzymywać przydziały żywnościowe oficera drugiej linii. Jak na warunki radzieckie to było coś fenomenalnego, że my, siedzący w obozie karnym mieliśmy aż takie przydziały. Trzeba podkreślić, że otrzymywaliśmy papierosy, w owym czasie nie była to błachostka. Wszyscy palili te tak zwane "kariszki", a myśmy palili "Kaspięgi". Dostawaliśmy 15-cie papierosów dziennie, a jak nie to 15g tytoniu. Sam papierem wtedy fajkę i była to dla mnie porcja wystarczająca.

Po przewiezieniu nas do obozu w Diagilewie warunki już były inne. Obóz był duży, znajdowała się na jego terenie świetlica, obiady jedliśmy na stołówce z talerzy. Była oddzielna kuchnia oficerska i dla żołnierzy, co nas absolutnie denerwowało, pomimo tego, że to było dla nas wielkim plusem. Byli również i tacy, którzy uważali, że porcje są za małe i głodowali. Mnie się wydaje, że to nasza bezczynność, nic nie robienie i nostalgia za krajem, rodziną, powodowała

to, że myśleliśmy tylko o żarciu i o niczym innym. Jako jeszcze młody człowiek czułem się o wiele lepiej niż starsi oficerowie. Oni mieli za sobą różne przeżycia i pobyt w obozie był dla nich męczarnią, ciągle myśleli o swoich rodzinach, ciągle byli myślami nie w rzeczywistości, tylko gdzieś w przeszłości. Ciężko się im żyło!

W między czasie Rysiu Damroż zdobył gdzieś gitarę i zaczął nam na niej przygrywać. Zaczęło to kłótkować jeszcze w poprzednim obozie. Wkrótce stworzył się mały chór, w którym występował: "Kot"-Palczewski, Czesiu Plejewski, Witek ~~Kisiele~~ Kisiele "Świątokłdycz". Początkowo śpiewaliśmy dla siebie na pryzkach.

W 6-tym numerze miesięcznika "Karta" przeczytałem jak to Stasiu Pieniążek zajmował się spirytyzmem. Muszę tu dodać, że ja mam z tym duże wspomnienia. Stasiu już był w takim stanie, że błądził myślami niewiadomo gdzie, był zupełnie otumaniony tym spirytyzmem. Założyłem się z nim, że jeżeli do końca 1944 roku wyjedziemy do Polski to ja po przekroczeniu granicy, ~~zjemy~~, przed całym towarzystwem, które będzie tam stało, pocałuję go w goły tyrek, a jeśli tak nie będzie, to on, przy całej naszej kompanii pocałuje mnie w to samo miejsce. Założyliśmy się w początkach grudnia i w miarę jak zbliżał się termin "obopólnych" pocałunków ja stawałem się coraz bardziej spokojny, a Stasiu był coraz bardziej nerwowy. Moja sytuacja stawała się coraz bardziej pewna, choć powiem, że wycałowującym jego z całą radością, żebym tylko mógł to zrobić w kraju. Żartowaliśmy z niego. Mówiłem mu, że już czekam, nie chodzę do kąpieli, czekam na jego lubieżny pocałunek. Stasiu denerwował się, ale chyba to całe wydarzenie pomogło mu przezwyciężyć tą jego manię urządzania seansów spirytystycznych. Później spotykałem jego rzadziej, ponieważ nie mieszkaliśmy już na przeciwko siebie.

Jak już wspominałem, Rysiu Damroż zorganizował grupę miłośników śpiewu, która w drugim obozie przekształciła się w Chór Rewellersów. Śpiewaliśmy piosenki, stare jak i nowe, ułożone przez por. Witolda Działlika, jego pseudonimu nie pamiętam, przed wojną był ziemianinem i dziennikarzem. W Chórze Rewellersów śpiewali: bas-Witek Kisiel "Światołdycz", baryton- Mirek Lelewski, drugi tenor- ja i pierwszy tenor- por. Stasiu Ruzyna z pierwszego Pułku Piechoty Legionów.

Był zorganizowany teatr "Nasza Buda", na wstępie każdego przedstawienia śpiewaliśmy piosenkę:

"Nasza buda zaprasza was w gości ze wszystkich stron,
panny, chłopcy i biedni mężowie bez żon."

Powtarzaliśmy to kilkakrotnie.

w teatrze rozgrywaliśmy różne scenki rodzajowe, np. odegraliśmy w miarę naszej pamięci operetkę "Rosemarry". Muszę powiedzieć, że to było bardzo przyjemne.

W tym samym czasie Jurek Habela zorganizował chór męski, wieloosobowy, bardzo dobrze śpiewający.

Mogliśmy śpiewać wszystkie piosenki, oprócz patriotycznych. Dlatego nasz repertuar nie był zawsze wysokich lotów. Śpiewaliśmy "Pękaty, brzuchaty, brzuch wyleciał za krzaki", były to w większości bajeczki komponowane przez Habelę. Dla nas to było bardzo przyjemne zajęcie. Po pierwsze, że odbywały się próby i mieliśmy zajęty czas, mniej myśleliśmy o nostalgicznych tematach. Po drugie, to byliśmy pożyteczni dla innych. Ja sam śpiewałem w tych dwóch chórkach. Pod koniec 1946 lub na początku 1947 zachorowałem na gardło i zakończyłem swoją karierę śpiewaka.

Chciałbym tutaj więcej opowiedzieć o por. Witoldzie Działliku, przebywający w tym samym czasie w obozie. Był wspaniałym człowiekiem, dziennikarzem- obywatelom. Wieczorami zajmował nas

swoimi opowiadaniem o Patagonii i innych odległych krajach. Wiadomo było, że połowa z tego to była jego fantazja i bujda, ale ponieważ robił to z dużą umiejętnością i mile przy tym spędzaliśmy czas więc nikomu to nie przeszkadzało. Był bardzo uzdolnionym człowiekiem. Skomponował m. in. na melodię ludową, rosyjską piosenkę p.t. "Czym chata bogata, tym rada." Tak orzmiała ta piosenka:

"Po marszach, na przełaj, zmęczony, znękany,
gdy wroga ścigałeś, lub byłeś ścigany,
zgnębiła cię chrosta i febra i wrzody,
że ledwie dobrnąłeś do wiejskiej zagrody.

Wieś polska kochana, tak bliska i miła,
z ostatnich zapasów jak w święto karmia,
dzieliła twe troski, cieszyła się razem,
gdy wrogom za krew swą przecieś żelazem.

Przy częstych rewizjach, pod groźne okrzyki
gdy nagi jak małpa skakałeś jak dziki,
i z kraju porwane bezdomne sieroty,
dziś tworzą w Riazaniu sossaw trietiej roty.

A w prasie i w radio okrzyki i ody,
kochajcie się bracia, słowiańskie narody!
A trzyma w więzieniu dziś sąsiad sąsiada,
czym chata bogata tym rada! "

Rosjanie cenzurowali nasze teksty i proszę sobie wyobrazić, że pozwolono nam zaspiewać tą piosenkę. Natomiast Habela śpiewał piosenkę o bocianie, który miał strasznie czerwony dziób i o żabce. Nie pozwolono mu jej śpiewać.

Dziatlik skomponował jeszcze jedną piosenkę bardzo satyryczną, którą tu przytoczę:

"PPR-y, PPS-y bronią Polski interesy,
bronią Polski tak dokładnie,
że do Wołgi Wisła wpadnie!

UB, WiN-a smutna mina,
chociaż robi różne kroki,
oo żelazna ta kurtyna
nie rozsúwa się na boki.
Francja robi różne chopki,
to się kłania do dolara,
robi tańce i łamance,
kto zapłaci kurwo stara!"

o
TO urozmaicenie podtrzymywało na duchu. Muszę powiedzieć, że na początku przeprowadzaliśmy próby na sali ogólnej, w kątku gdzie stał piecyk do ogrzewania. Początkowo to drażniło naszych kolegów, przeszkadzało to im, ale po pewnym czasie doszło do tego, że jak chcieliśmy już przerwać naszą próbę i iść spać to większość prosiła nas, abyśmy jeszcze cokolwiek zaśpiewali. Potrafiliśmy tak śpiewać do późnej nocy.

Śpiewaliśmy również inne piosenki, które dziś jeszcze pamiętam:

"Już dopala się ogień oiwaku
a za rzeką unosi się mgła.
Po szwadronie ni śladu ni znaku,
tylko Dziegciar w oddali dzieś gra,
Po szwadronie ni śladu ni znaku,
tylko Dziegciar w oddali gdzieś gra,

Tylko słychać gdzieś bardzo daleko
jęk szrapneli unosi się wzwyż.
Za urwiskiem tam wiję się rzeka,
a za rzeką mogiła i krzyż
Za urwiskiem tam wiję się rzeka,
a za rzeką mogiła i krzyż.

Pod tym krzyżem, pod drzewem zwałonym
śnią żołnierze ostatni swój sen.

Bodaj po to być warto żołnierzem,
by sen przyśnić taki jak ten.
Bodaj po to być warto żołnierzem,
by sen przyśnić taki jak ten.

Aby widzieć padając w ataku
Polskę wolną i czystą jak iza.
Po szwadronie ni śladu ni znaku
tylko Dziegciar w oddali gdzieś gra.
Po szwadronie ni śladu ni znaku,
tylko Dziegciar w oddali gdzieś gra."

Kolejna pieśń zaczynała się tak:

"Na znojną walkę krwawy bój z wrogami,
każdego z nas sumienia wezwał głos.
Przeobjem isć , a los isć nasi z nami, /bis/
a jeśli nie to przełamiemy los.

Naszą muzyką ekm-ów oicie,
nocne alarmy nam rozrywką są,
choć wraży pocisk przerwie czyjes życie /bis/
kto pozostanie wywalczy wolność swą.

Dość mamy pętli, skończyła się cierpliwość
dość mamy więzien i spalonych miast.
Zwycięska pieśń wymierzy sprawiedliwość, /bis/
a naszą pieśń podniesie aż do gwiazd

Ta nasza pieśń nie pachnie rozmarynem,
nie ma w niej dziewcząt, ni pacunących ust.
Jak nasze życie pachnie krwią i dymem, /bis/
preszczotą i jak karabinowy spust.

Była jeszcze jedna zwrotka ale nie pamiętam jej.

Jak wspominałem śpiewał z nami w chóрку Mirek Lelewski, który był wspaniałym człowiekiem. Oficer, aresztowany przez gestapo w Lidzie, następnie został odbity z tamtejszego więzienia przez kompanię z brygady "Kryśia". Był strasznie pobity i zmaltretowany, ale jego duch nie został złamany. Przez cały czas był wspaniałym kolegą i kompanem. Głos miał wspaniały, baryton. Śpiewał nam ballady, pieśni rosyjskie, urozmaicał obozowe życie. Refleks miał fenomenalny, dowcipny, nigdy nie tracący rezonu. W sierpniu 1945r. zostały zrzucone bomby atomowe na japońskie miasta. W gazecie rosyjskiej, którą otrzymywaliśmy w miarę regularnie, choć dostawa gazet rosyjskich była jak barometr stosunków i wydarzeń rozgrywających się w Polsce- gdy działo się tam coś niedobrego nie otrzymywaliśmy ich, ukazał się artykuł w którym pisano, że bomba atomowa to nic strasznego. Na statku, który znajdował się niedaleko Hiroszimy były umieszczone kozy, którym się nic nie stało, nic nie ucierpiały. Komentując ten artykuł Mirek Lelewski, rzyjąc się, wygłosił mowę: "No, ja mam wspaniałą Miczurinowską krzyżówkę, otóż skrzyżujemy kołchoźnika z kozą. Kołchoźnik zresztą nie musi a koza nie poci się atomu. Jakis usłużny szpicel doniósł do radzieckich władz śledczych, którzy opiekowali się nami przez cały czas, byliśmy przesłuchiwanii co pewien czas. Naturalnie, po pewnym czasie Mirek Lelewski został wezwany na tak zwany "dapros" Oficer śledczy zaczyna pytać go jak się czuje, jak się czuje jego rodzina. Mirek ze spokojem odpowiada: "Niech mnie pan wypuści to pojedę do rodziny, zobaczę jak ona się czuje, wrócę i opowiem panu dokładnie, w tej chwili nie mogę pana powiedzieć dokładnie jak się moja rodzina czuje." Oficer śledczy zmienił temat i zaczął pytać jak mu się podoba rząd. Mirek ciągle ze stoickim spokojem odpowiada: "Nie wiem, proszę mnie pascić to pojedę do Warszawy,

popytam się rozejrzę kto jest w rządzie, przyjadę i zrelacjonuję panu wszystkie sprawy". Zdenerwowany oficer widzi, że kpina nie z tej ziemi. Onwytą pistolet i ze swoim wymownym rosyjskim "taka twoja mać" mówi, że chciał skrzyżować koczownika z kozą, że chciał skrzyżować radzieckie społeczeństwo. Na co Mirek Lelewski najspokojniej na świecie: "Ja, człowiek z wyższym wykształceniem miałem takie głupstwa mówić, to pan to powieział!" skończyło się na niczym. Mirek wraca na salę i mówi: "Szpicle won odepę trzymał mowę!" Opowiedział nam wtedy dokładnie jak wyglądało to jego przesłuchanie.

A propos Działlika warto wspomnieć, że był kompletnym abnegatem. Palił karyszki w niesamowitych ilościach, stąd obie ręce miał strasznie brudne. Mieliśmy obowiązek wyznaczenia sanitariusza kompanii. I kto lepiej się nadawał na to jak nie Działlik, brudny, nieogolony, całkowity abnegat. On został sanitariuszem. Ponieważ pewna lekarka rosyjska w stopniu majora miała obowiązek sprawdzania co pewien czas stanu sanitarnego na sali, Działlik musiał się jej meldować. I proszę sobie wyobrazić robi to: Porucznik Działlik, szef sanitarny trzeciej kompanii." Alekarka stoi i spokojnie się pyta, patrząc na jego ręce złożone przy daszku czapki: "Od cziewo u was takie grzanyje ruki?" /dlaczego macie takie brudne ręce?/ A Działlik bez zastanowienia mówi: "At joda!" /od jodyny/ A jodyny ani ona, ani nikt z nas nie widział od rozpoczęcia wojny.

Z Działlikiem związane jest jeszcze jedno humorystyczne przeżycie. Absolutnie nie chciał cię kąpać, nigdy nie chodził do od-wszalni. Przeczytałem w nr 6 "Karty", że niektórzy byli gryzieni przez wszy, Otóż ci, którzy dbali o higienę nigdy nie mieli z nimi kłopotu. Otóż wyposażony był w tak zwane "wszooojki", które nazywaliśmy "katusze". Były to pomieszczenia nagrzewane do temperatury powyżej 200-stu stopni, do których wsadzano na wieszakach swoje umundurowanie i bieliznę. Przy tej temperaturze nie było mowy

o przetrwaniu czegokolwiek żyjącego na naszych rzeczach. Mieliśmy natomiast duże problemy z pluskwami.

Dziatlik nie chciał chodzić do odwszalni. Wtedy Czesiu Plejewski, chłop prawie 2 metry wysokości powiedział mu: "Jeżeli nie wykąpiesz się i nie dasz swoich rzeczy do odwszenia, to my ciebie powiesimy na wieszaku razem z nami i odwszemy." I bierze jego za ramię i pozoruje, że chce go powiesić na wieszaku. W taki sposób skończyło się ahigieniczne życie Dziatlika.

~~Wskazka do str. 28.~~

Nasi żołnierze chodzili czasami do pracy do cniadni w Riazaniu. Moją kolega, Czesiu Plejewski wybrał się pewnego razu tam z żołnierzami jako ich nadzor przy pracy. Rębną chłopak normalnie kawał łobosia, a że był zamrozoony do -40 stopni, schował go sobie w portalu. Miał potem duże kłopoty bo się przeziębiał. Łobos był zjedzony wspólnie, smakował nam bardzo, ale Czesia Plejewskiego kosztował zdrowie, ~~odmroził sobie~~ śmialiśmy się z niego, że odmroził sobie genitalia.

~~Koniec wskazka str. 39.~~

Pewnego dnia, na bocznicę kolejową przy obozie w Diagilewie przyjęliśmy transport z fabryki Cpla. Cała bocznicza została zajęta przez ten skład. Na wagonach były poustawiane zamknięte olbrzymie skrzynie. Nie wiedzieliśmy co jest w tych skrzyniach. Nasi żołnierze byli wykorzystywani do prac w Riazaniu i brali również udział przy rozładunku tych skrzyn. Skrzynie były bardzo ciężkie. Wyładunek ich wyglądał w następujący sposób. 20-30 ludzi z tak zwanymi precnsztangami i drągami podwazyło skrzynie, która przechylała się i spadała z dosyć wysokiego nasypu. Przy okazji skrzynia taka rozpadła się, wysypywały się z niej narzędzia, części różnych maszyn. Przez brak szacunku do dobra jakie przywieźli z Niemiec wiele z tych maszyn zostało uszkodzonych.

W skrzyniach tych były pilniki, nożówki, piły do metalu, nożyce do cięcia blachy. Jak na warunki obozowe był to prawdziwy skarb. Żołnierze, którzy wyładowywali skrzynie przyniesli do obozu dużo narzędzi z tego transportu.

Pamiętam także humorystyczne wydarzenie. Pewnego dnia wracają nasi żołnierze z riazanskiej fabryki win i likierów podpiei, wesio śpiewając piosenki. Natomiast wartownicy, którzy mieli ich pilnować byli spłoni kompletnie. Był to dla nas widok ciekawy: wjeżdża do obozu samochód ze spitymi wartownikami, a nasi żołnierze oddają karabiny eskorty komendantowi obozu. Zrobiła się awantura na całego. Zakazano naszym żołnierzom jeździć do pracy.

~~Po pewnym czasie przyjeżdża~~

Po kilku dniach do naszego obozu przyjeżdża delegacja robotnicza z tego zakładu z prośbą do komendanta obozu, majora Kozłowcewa. Chcieli od Polaków kupić narzędzia. Był to szok dla komendanta. Naturalnie, jak się można było spodziewać przeprowadzono bryskawiczną rewizję. Kazano nam wyjść z baraków tylko z osobistymi rzeczami. W czasie kiedy staliśmy na placu do wiklinowych koszy na kartonie zbierali wszystkie znalezione narzędzia. Koszy wypełnionych narzędziami namnożyło się jak w cudzie z chlebem i rybami. W koszach tych można było znaleźć wszystko, były tam i przewody elektryczne, probierze. Komendant po zarekwirowaniu tych rzeczy uważał, że zostały zlikwidowane na terenie obozu niebezpieczne narzędzia. Trzeba powiedzieć, że na drugi dzień we wszystkich kątach obozu dało się słyszeć charakterystyczne "bzi, dzi, dzi," piłowanie, stukanie. Pomysłowość Polaków była zadziwiająca. Jak opowiadali koledzy, którzy siedzieli w Grażowcu z Niemcami, to ci Niemcy przez cały czas jedli łyżkami drewnianymi. Podczas gdy u nas był wytop aluminium, robienie łyżek i carych zastaw. Kapitan "Rouin" jak się ożenił z Marysią Bochenek otrzymał całą zastawę na dwanaście osób. Noże były zrobione z piłek nożowych, łyżki, łyżeczki, widelczyki wszystko było zrobione ręcznie przez naszych żołnierzy.

Nie wiedziałem o tym wcześniej, ale wiem teraz, że na terenie obozu były robione zdjęcia. Nie wiem przez kogo były robione, ale słyszałem, że radzieccy żołnierze przynosili aparaty fotograficzne do naprawy. A w obozie była paleta wszystkich mechaników. Trzeba powiedzieć, że między żołnierzami było ^{dużo} bardzo inteligentnych ludzi, którzy umieli wszystko robić. Byli wśród nas i zegarmistrzowie i technicy dentystyczni. Żołnierze radzieccy wykorzystywali umiejętno-

ści naszych żołnierzy dla swoich celów.

Ciężki los w obozie mieli wszyscy ci, którzy myśleli tylko o rodzinie. Mąż mojej kuzynki Łukasz bardzo przeżywał obóz, był tak dalece zamyślony, że prawie nie utrzymywałem z nim kontaktu, a znałem go jeszcze przed wojną. Był całkowicie załamany.

W obozie siedział, jak już wspominałem, Władek Gortynski "Kobra". Ten z kolei wychodził strasznie, ponieważ większość swojego jedzenia, i cukier i chleb, zamieniał na papierosy. Spalał ich niesamowite ilości, ale był bardzo sympatyczny.

Siedział z nami jeszcze Saturnus Hwald, pseudonim nie pamiętam, był bokserem wagi średniej, pochodził z Wilna. Byli to serdeczni przyjaciele.

Gorzej znosili "obozową dietę" osoby tegie, które dla normalnego odżywienia potrzebowały dużo kalorii. Chcieli, na prawdę czuli się źle.

Natomiast związkowcy leczyli się. Nasz lekarz obozowy mjr Grzegorzko, który był m. in. organizatorem szpitala w obozie zawsze miał jakiś pacjentów.

Władek Gortynski pseudonim "Kobra", nie wiem czy jego pseudonim jest z działalności w AK podczas okupacji, czy to myśmy go tak nazwali w obozie. Był członkiem oddziału "Frycza" podchor. Andrzeja Świącickiego, syna profesora Świącickiego. Jego oddział był w ochronie sztabu. Władek Gortynski po wojnie przyjechał do Gorzowa Wielkopolskiego i tutaj zmarł w 1953 lub 54; zmarł na atak serca. Był moim serdecznym przyjacielem.

Jedną z takich osób którą zapamiętałem był ppor. Jerzy Dzierżyński, bratanek sławnego Feliksa Dzierżyńskiego. Siedział on z na-

ni w obozie w Ustiszczerze. Wielki szok przeżyliśmy, jak pewnego pięknego dnia wywozują Jurka do Komendantury: "Sobieraj się z wieszczkami". Okazało się, że Jurka transportują do Polski. Podobno jego ciotka starała się o to by został wypuszczony wcześniej do Polski. Wprawdzie nie dużo na tym zyskał, ponieważ my wróciliśmy niedługo po nim. Może zyskał jedynie to, że jechał w kulturalnych warunkach, wagonie osobowym.

W obozie tym znajdowało się bardzo dużo ciekawych ludzi. Był późniejszy profesor Manteuffel, obecny senator Kelf, nie wspominając już o generałach.

W obozie znajdowała się tak zwana grupa "demokratów". Dowodzili nimi Sielicki i Lewandowski. Byli oni oficerami drugiego zgrupowania. Nie mieli oni jednak dużego wpływu w obozie. Dla nas to oni kolaborowali z Sowietami. Wiem jedno, że ani Sielicki ani Lewandowski /co do prawdziwości tego nazwiska nie jestem pewien, wiem, że był on jeszcze oficerem przedwojennym/ nie wrócili z nami do Polski. Zostali w Riazaniu, albo zostali przewiezieni gdzieś indziej. Nie wiem do końca co się z nimi stało.

Muszę tu powiedzieć o naszym wspólnym spotkaniu w Warszawie przy ekshumacji zwłok gen. Wilka. Przyjechało wtedy dużo byłych żołnierzy, prawie cała AK wileńszczyzny, przynajmniej z dowództwa. Mieliśmy wtedy również spotkanie towarzyskie.

Będąc jeszcze w Riazaniu, jak było jakieś ostrzejsze wystąpienie władz radzieckich to przeważnie odpowiadaliśmy im: "TO co nas Katyn czeka?" na co się strasznie wściekali kiedy ~~kolwiek~~ ^{tylko} odpowiedzialni o katyniu.

Dla wszystkich tych, którzy nie zwracali szczególnej uwagi na jedzenie, to można było tam wytrzymać. Tym bardziej, że warunki w jakich normalnie żył i pracował obywatel radziecki były dużo więcej gorsze od naszych warunków obozowych.

Podczas grupówki podchodzili do drutów okalających obóz, choć było to zabronione, Rosjanie. Mówili nam trzymajcie się, wydaje mi się, że było to pozytywne nastawienie do nas.

Bardzo dojrze zapamiętałem pewną scenę. Było to na wiosnę 1946r. Przed naszym obozem było pole orne. Widziałem na własne oczy jak pięć kobiet rosyjskich było zaprzęgniętych do pługą, a starszy mężczyzna prowadzący ten pług orał ziemię. Obojętnie jak na to spojrzeć: bardzo humorystycznie lub bardzo poważnie, ale to wręcz bohaterkie nastawienie postych ludzi było dla mnie czymś wielkim.

Z obozu w Riazaniu odbyło się kilka ucieczek. Najstawniejsza z nich to była chyba ucieczka Mickunasa, Szerbca. W artykule "AK do Riazania" /nr 6 "Karta"/ nie zostało podane nazwisko trzeciej osoby, która również wtedy uciekła. Ja również nie pamiętam nazwiska tego uciekiniera, wiem tylko, że używał pseudonimu por. "Sęk". "Sęk" przyłączył się do tej ucieczki spontanicznie. Wszystkim trzem udało się dojechać do Polski. Dowiedziałem się później, że Szerbca "Kruk" został postrzelany lub powieszony w Łodzi, a Mickunas mieszkał w Gorzowie Wlkp. Był on znanym hippistą, koniarzem, był członkiem olimpiady hipicznej. Był godny pochwały pod każdym względem. Przed wojną służył w wojskach artylerii. W Gorzowie był nauczycielem w szkole rolniczej, napisał podręcznik do nauki języka angielskiego dla szkół zawodowych. Był wielkim działaczem, w tym pozytywnym znaczeniu tego słowa.

Słyszałem jeszcze o innej ucieczce, w której brał udział obecny senator Reif, wtedy używał innego nazwiska. Był on wtedy dowódcą Rysia Danroża ps. "Niedźwiedź".

Co niedziele na terenie obozu odbywały się wspólne msze. Mieliśmy w obozie ~~pięciu~~ ^{czterech} księży, dlatego też msze mogły się odbywać systematycznie na wszystkich kompaniach. Byli to Władysław Kiernicki- franciszkanin, ojciec Rafał, członek sztabu lwowskiego okręgu AK, pseudonim "Dziunio", Antoni Piotrowski, szef służby duszpasterskiej 27-ej Wołyń-

skiej Dywizji Piechoty AK- "Prawdzić", Józef Preisner, kapelan 2-go zgrupowania partyzanckiego okręgu AK Wilno- "Protazy", oraz Paweł Zubko, proboszcz parafii w Witulinie na Podlasiu. Tego ostatniego nie przypominam sobie, wydaje mi się, że prowadził duszpasterstwo wśród żołnierzy. W każdym razie msze odbywały się regularnie co niedzielę, uczestnictwo nasze było wręcz masowe. Odbywały się one w pomieszczeniach zamkniętych, raz pamiętam odbyła się nawet w naszej szatni. Normalnie jednak odbywały się w salach. Bardzo to nas podtrzymywało na duchu. Niektórzy to aż wręcz przesadzali w dewocji. Zdarzały się i takie wypadki, że zapominał się i szedł do uoskacji z różańcem. Nie wiem może to nie było dziwne, przecież każdy z nas odczuwał zagrożenie w różny sposób.

Większości jednak tego czasu nasze życie upływało monotonnie. Wielu uczyło się języków obcych. Przedował tutaj pror. Manteufel, który wykładał angielski. U niego swój angielski szlifował Jurek Dzierżyński. Odbywały się pogadanki, również na tematy historyczne. Przez prawie trzy ipół roku przebywania w obozie musieliśmy sobie urozmaicać życie jak mogliśmy. W Riazaniu najbardziej aktywne było środowisko lwowskie i wileńskie, lubelskie raczej mniej. Odbywały się gry sportowe piłka nożna, koszykówka, siatkówka. Nasze zainteresowania były wszechstronne choćby dla oderwania się od negatywnych myśli. Powszechnym ibarazo dużym zainteresowaniem cieszyły się szachy i karty. Bardzo dużo grałem w karty, poczynając od wojny, kończąc na brydżu, pokerze, szmendeferze. Potrafilimy grać dniami i nocami. Z moich ^{Wspomnień zapamiętałem} ~~była~~ pewną trzydniówkę, gdzie graliśmy w piątkę w pokera. Dostaję króla, damę, waleta w pikach. Jestem na otwarciu, otwieram w cierno. Wchodzą, wchodzą, wchodzą. Nikt mnie nie przebił. Zadowolony biprę dwie karty. I nie patrząc na nie zagrywam z pół puli. Blefowałem, nie wiedziałem co kupię. Na nieszczęście gracze zaczęli mnie przeolgać. Pula była dosyć duża. Patrząc w swo-

je widzy i na szczęście widzę dziesiątka i dziewiątka pik. Piko-
wy poker. Zaczęła się chustawka. A biedny Stasiu Majewski, który
był moim kontrpartnerem miał cztery asy, gdyby pomyślał i mnie
przebił to ja bym spałował i poszedł w arzak. A ponieważ chciał
wygrać więcej, to przegrał więcej. Graliśmy na wszystko, zaparki,
papierosy, cukier, jak były to i na pieniądze.

Niektórzy zajmowali się rzemiosłem, było bardzo dużo uzdol-
nionych ludzi, robili rzeźby, malowali obrazy. Tak nam upływały
dni.

Pod koniec czerwca, to był chyba 29 czerwca 1947r., najprawdo-
podobniej niedziela, ponieważ spałem jeszcze, słyszę, że jest ja-
kis szum. Zkuchni wracają żołnierze. Nie wzięli jedzenia. Wartyku-
le o obozie z "Karty" nr6 przeczytałem, że głodówka była organi-
zowana. Nie wydaje mi się to za prawdopodobne. Mielismy przecież
normalnie iść jeść na stołową, ale kiedy zauważono, że żołnierze
strajkują i nie jedzą, my też postanowiliśmy się do nich przyłą-
czyć. Przyłączyli się do nas również cywile. Byli również i tacy,
którzy nie przejmowali się niczym i jedli posiłki normalnie, były
to jednostki z grupy demokratów. Jak wiadomo po trzech dniach byli
już klientami szpitała. Naturalnie awantura, że potrudiliśmy ich.
Szybko jednak okazało się, że to mięso było zatrute.

Jeżeli chodzi o śmiertelność w obozie to nie była duża, nie
wiem czy przekraczała 1 % przez cały czas obozu.

W naszym obozie w Diagilewie udzielał się bardzo artystycznie
kapitan Longin Wojciechowski "Ronin". Śpiewał piosenki trzeciej i
czwartej brygady, początkowo był w szeregach trzeciej brygady,
później był dowódcą czwartej brygady. To on właśnie pobral się w
obozie. Spotykałem się z nim kilka krotnie po wojnie.

W czasie całego naszego pobytu w obozie nastroje nasze były

różne. Otrzymywaliśmy gazety, ale jeżeli tylko cokolwiek w Polsce się psuło w ich zrozumieniu, to gazet nie otrzymywaliśmy. O Mikołajczyku nie wiedzieliśmy prawie nic. Więcej dowiedzieliśmy się dopiero po przyjeździe do kraju.

W ostatniej fazie naszego pobytu w obozie zmienił się stosunek Rosjan do nas. Zaczęli nas traktować jak żołnierzy. Kiedyś próbowano nam dać mundury niemieckie, ale odmowiliśmy zdecydowanie. Nowych mundurów polskich nam nie dano, przez cały czas byliśmy w swoich starych mundurach. **Przewiezieni zostaliśmy we wrześniu 47r do Ustisziorzy**

~~Wstąpienie
do str 33~~

W obozie w Ustisziorze panowały zupełnie inne warunki niż w obozie w Diagilewie. Panował tam wśród nas inny nastrój, jakaś desperacja, jakies zniechęcenie. W obozie w Riazaniu żaden z nas nie pracował, później też. Pracowali natomiast żołnierze, chodzili oni na tak zwaną "liesu zagatowku", robili oni zapasy drzewa. Była to ciężka praca, był to olbrzymi wysiłek i wtedy faktycznie racje żywnościowe mogły im nie starczać. Zresztą w Ustisziorze jedzenie było nieporównywalnie gorsze niż w Diagilewie. Sam stosunek pilnujących nas żołnierzy NKWD był inny. Byli nastawieni do nas wrogo, dowodem tego jest to, że przy próbie ucieczki naszych kolegów, jeden z uciekinierów został zastrzelony bez ostrzeżenia. Uciekał wtedy również Czesław Plejewski, jednak udało mu się niepostrzeżenie wrócić do obozu i NKWD nie wiedziało o tym, że brał udział w tej ucieczce. Zastrzelenie tego żołnierza wręcz po bandycku było dla nas **dużym** wrażeniem, pozostawiło duży niesmak. Z późniejszych opowiadań wiem, że została tam zorganizowana zasadzka. Bojce strzelał do niego dosłownie z ~~głębokości~~ około 30 metrów. Był już wcześniej wykopany uzi. Komendant obozu, w stopniu lejtnanta, znał trochę polski, groził nam, że przy kolejnej próbie ucieczki każdy z nas zostanie potraktowany podobnie. Pomimo tego zorganizowana była kolejna ucieczka. Uciekli żołnierze pracujący w lesie, jeden z nich nazywał się Andrzejewski, jak opowiadał był kucharzem na "Batorym". Został złapany wraz ze współuciekierem i na szczęście w ostatnim momencie dostarczeni do naszego transportu do Polski.

W obozie w Ustisziorze nie mieliśmy żadnych rozrywk kulturalnych. Nie było tam nawet gry w karty, panował naprawdę ponury nastrój. Byliśmy sobie w większości nieznani, nie wiadomo było z kim i o czym rozmawiać. Przez cały czas pobytu we wszystkich obozach przyjaźniłem się z Czesławem Plejewskim. Rozumieliśmy się i nawzajem podtrzymywaliśmy się na duchu. Zналиśmy się jeszcze z Gimnazjum. Przeżył po wojnie tragedię. Szalenie był zakochany w swojej żonie, miał dziecko, po powrocie z

obożu zastał swoje małżeństwo już rozbite. Zresztą wielu z nas po trzy i pół letnim pobycie w obozie zastawało swoje rodziny rozbite, zaczęli od początku.

~~Wskazywa
ze strony 36-37-38~~ W obozie przejściowym w Brześciu znaleźliśmy się prawie wszyscy razem. Trzymano nas tam kilka tygodni na kwarantannie. Czekaaliśmy z utęsknieniem chwili kiedy przewiozą nas przez Bug.

Nastąpiło to 30-go października rano. Przeszliśmy na stronę Polską do Białej Podlaski tam opiekę nad nami przejął major z Urzędu Bezpieczeństwa, sporządzono nam kartoteki i przyjęto na ewidencję. Wydano nam zaświadczenie repatryjacyjne. Otrzymałem dokument repatryjacyjny ze zdjęciem o numerze 1751.

Po przyjeździe do kraju udałem się do miejscowości Swiebodzice. Mieszkała tam moja żona, lecz ze względów osobistych wróciłem do rodziców do Wągrowca i tam spotkałem ówczesnego vice-wojewodę poznańskiego z siedzibą w Gorzowie pana Floriana Kroenke. Zaproponował mi pracę w Gorzowie. Naturalnie zgodziłem się skwapliwie, ponieważ Gorzów leżał blisko granicy niemieckiej, myślałem o tym żeby przeskoczyć granicę. Jednakże jak zorientowałem się jakie są warunki w Gorzowie zrezygnowałem z tego planu i zostałem w kraju. Skłaniał mnie do tego również ojciec mówiąc, że Polska jest zawsze Polską a za granicą zawsze będą obcy.

W Gorzowie pracowałem w Urzędzie Miejskim organizując rozbiór-

kę i odgruzowanie miasta. Pracowałem tam z Niemcami, którzy byli przygotowani do repatriacji do Niemiec. Byli oni mieszkańcami Gorzowa. Wojewoda chciał abym był komendantem tego obozu, nie zgodziłem się na to. Sam niedawno tak przecież przechodziłem obóz, nie było to dla mnie nic przyjemnego, nie chciałem tego teraz robić z drugiej strony drutów. Przy rozbiórce pracowałem do 1949 r.

W maju 1949r, wspólnie z p. inż. Lamprechtem i p. Koroną organizowaliśmy Miejskie Przedsiębiorstwo Budowlane mieściło się ono na ul. Strzeleckiej. Mam legitymację nr 1 z tego przedsiębiorstwa. Zacząłem wtedy poznawać mój przyszły zawód budowniczego. Pracowałem w tym przedsiębiorstwie do 1954r. na stanowisku kierownika budowy.

W roku tym zacząłem organizować Zakład Remontowy przy Miejskim Zarządzie Budynków Mieszkalnych. Przepracowałem tutaj dwa lub trzy lata. Po tym czasie przeszedłem do MPRB JUŻ na stanowisko dyrektora przedsiębiorstwa, gdzie pracowałem do 1962r. Później przeszedłem do budownictwa ogólnego w Miejskim Przedsiębiorstwie Budowlanym "Zachód" tu pracowałem do 1972r. Do końca mojej kariery zawodowej pracowałem w przedsiębiorstwach budowlanych. Nie należałem do żadnej partii.

W gorzowie miałem przyjaciela z obozu por. Władka Gortyńskiego. Przyjeżdżali do nas inni koledzy z obozu m. in.: Saturnin Huwald, Czesław Plejewski, Mirek Lelowski, Stefan Witowski "Hanka". Utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie, wspominaliśmy obozowe chwile, było dosyć przyjemnie. Kontakty te skończyły się jak zaczęło się nam interesować UB. Zaczęto dopytywać się a co jest, dlaczego. Wypytywano sąsiadów. Postanowiliśmy przerwać nasze wspólne spotkania. Bliski kontakt utrzymywałem tylko z Władkiem Gortyńskim aż do jego śmierci.

Byłem i jestem zapalonym wędkarzem i myśliwym, normalne, że zacząłem się tym interesować na tych terenach. Z początku miałem kłopoty

z otrzymaniem pozwolenia na broń, ale po zweryfikowaniu, że byłem w obozie w Riazaniu i byłem tam wszechstronnie sprawdzony przez mistrzów, otrzymałem pozwolenie na broń.

Jak już wspominałem do żadnej partii nie należałem, aktywny politycznie nie byłem. Interesowały mnie jedynie sprawy gospodarcze, starałem się wykonywać swoje obowiązki kierownicze jak najsolidniej. Muszę powiedzieć, że udawało mi się to. Nasze przedsiębiorstwo zawsze stało dobrze organizacyjnie, otrzymywaliśmy dobre wyniki. Takie wyniki jakich nie osiąga dzisiaj żadne przedsiębiorstwo pomimo lepszego wyposażenia i techniki,

Przez cały ten czas byłem raz wzywany do Urzędu Bezpieczeństwa. Porucznik kazał mi pisać swój życiorys. Zacząłem się śmiać, mu w nos. W Riazaniu byliśmy wzywani na "dapros" co tydzień i pisaliśmy nic innego jak życiorysy. Powiedziałem mu, że ja przez trzy i pół roku nie robiłem nic innego jak pisanie swojego życiorysu i dzisiaj postawię panu kropkę i przecinek w tym samym miejscu. I sądzę, że jeżeli byłem sprawdzany przez waszych mistrzów to jest to zbyteczne teraz. Zresztą poproszę wtedy szefa urzędu i wyjaśnię to mu. Pozostawiono mnie w spokoju bez konieczności pisania życiorysu.

Na początku byłem zaskoczony żywotnością Polaków w Gorzowie. Były organizowane koncerty, spotkania towarzyskie, teatr, wtedy nie spodziewałem się tego tutaj. Wydaje mi się, że to było spowodowane występującym u ludzi zmęczeniem wojną. Zdecydowana większość społeczeństwa pracowała uczciwie i solidnie on była przekonana, że robi to dla siebie. Na początku było mało osób zainteresowanych naszymi partiami, bardziej interesowała ich strona gospodarcza naszego

kraju.

Nasze losy po powrocie do Polski były różne. Bodajże w 1956r. zostałem powiadomiony przez Longina Wojciechowskiego "Ronina", że w Warszawie będzie eksnumacja zwroek gen. Wilka. Pojechałem wraz z żoną, spotkałem tam masę przyjaciół i znajomych. Była tam obecna młodzież wileńska, aktorzy i naturalnie my byli żołnierze AK. Uroczystość była doniosła filmowano nasz kazdej strony, najprawdopodobniej były to władze bezpieczeństwa, ale wszystko było w najlepszym porządku. Sam nieśłem wieniec, nikt nigdy się o to mnie nie wypytywał co tam robiłem. Po uroczystości spotkaliśmy się towarzysko na kolacji. Był tam obecny kapitan "Jan"/nazwiska jego nie pamiętam/, jego żona niedawno wróciła z Rosji. My tam zartowaliśmy, śmiaaliśmy się, a ona była coraz bardziej blade i zdenerwowana. Okazało się, że była strasznie przestraszona tym, że możemy zostać aresztowani. Później większych spotkań towarzyskich nie odbywaliśmy. W Gorzowie mieszkał jeszcze Kazimierz Rutkowski, ukrywał się początkowo pod nazwiskiem Wolski, bardzo porządny człowiek, pracował ze mną. Podczas wojny był w Kedywie wileńskim / dzisiaj mało co o nim wiem, ale wtedy była taka zasada, żeby interesować się innymi jak najmniej/ Był bardzo aktywny podczas odnowy w 1956r. potem starano się jego uciszyć, tak dalece, że nie mógł znaleźć pracy. Musieliśmy, z kolegą przyjmować do siebie na stanowisko absolutnie nie odpowiadające jego kwalifikacjom. Zmarł w Gorzowie na atak serca. W Gorzowie mieszkał również kapitan Romanowski, mój były dowódca z 86-go Pułku Piechoty.

~~Koniec!~~

Saturnin Hwala był u nas w Gorzowie. Skończył fatalnie. Nie mógł do końca przyzwyczaić się do zastawien po powrocie faktów i warunków, popadł w alkoholizm.

Mirek Lelewska częsty gość naszego domu. Po powrocie do Polski również miał kłopoty z Urzędem Bezpieczeństwa. Pracował jako kierownik techniczny w terpentyniarni w Tuszy koło Piły. Miał nieszczęście zorganizować wniosek racjonalizatorski przysparzający olbrzymie korzyści w produkcji. Dostał nagrodę z ministerstwa. A po paru dniach został aresztowany przez UB, ponieważ spawał rury przy ~~pe~~nym ruchu terpentyniarni. To było niebezpieczne, ale właśnie na tym polegał jego wniosek racjonalizatorski. Przeprowadzają w jego domu szczegółową rewizję. Zrywali mu podłogę, wyrwali karnisze, prują iotele, a jego mama, starsza ^{poni,} bardzo kulturalna z lornią, cicho odzywa się do syna: "Mireczku, ci panowie chyba są z UB". A on najspokojniej w świecie odpowiada: "Nie mamusi, to ksiądz po kolędzie przyszedł". Tego "księdza po kolędzie" wspomniano mu później, że kpił z władzy ludowej. Odbyła się rozprawa. Mirek był bardzo lubiany przez swoich współpracowników. Oni wiedzieli, że ktoś niesprawiedliwie donosił na ~~mirka~~. Dowiedzieli się kto, był to dawny, członek band UPA, który ukrywał się na tych terenach, a chciał się teraz przysłużyć. Ci pracownicy pojechali w rodzinne strony niefortunnego konfidenta, zebrali dokładne materiały przeciwko niemu. Na rozprawie przedstawili wysokiemu Sądowi owe dokumenty i skończyło się na tym, że Mirek został zwolniony, a generalny świadek oskarżenia osadzony w wię-

Nagrat n
opracował
Tomasz
Kowalski

~~135~~

zieniu. Co się z nim później stało nie wiem. Mirek zawsze pozostał miłym, sympatycznym, z szybkim refleksem człowiekiem.

Punkt Przyjęcia

Białej-Podkaszaj

Zaswiadczenie Nr. 058075

Zaswiadcza się niniejszym, że ob.

Wilno 22 XI 1918

Gorski Stanisław s. Wilhelma
(nazwisko, imię, imię ojc)

(rok i miesiąc

urodzenia)

przybył do Polski z terytorium

Z. S. R. R.

i dnia 30 października

1947 r. zarejestrował się na Punkcie

Przyjęcia w Białej-Podkaszaj

Świebodzkiej

Obecnie udaje się do Świebodzice woj. Włodzaw

(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów

ob. Gorski Stanisław ma pierwszeństwo i prawo

jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do

Świebodzice

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej

id. okazicielowi niniejszego.

U W A G A:

- Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zgłosić się Milicji Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu — na dowód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia

Białej-Podkaszaj



1751



1947 r.

Ważne do dnia 29 XI 1947

Wzrost
Ciężar ciała
Ciepota ciała
Ciężar serca
Ciężar płuc
Ciężar wątroby
Ciężar nerek
Ciężar pęcherzyka żółciowego
Ciężar trzustki
Ciężar śledziony
Ciężar wątroby
Ciężar nerek
Ciężar pęcherzyka żółciowego
Ciężar trzustki
Ciężar śledziony

Przebieg choroby

Wydanie
Strochów
Kierownik Ref. Transportowego

zgłosił się do postambulu
w Białej-Podkaszaj
MILICJI OBYWATELSKIEJ
w Pelcznicy

OSKO POLSKA
R. N. U. GÓRZÓW

KIEROWNIK REPERATU N. OFIA

Handwritten notes and signatures on the right side of the document, including a signature of the transport officer and a note about the document's validity.